

6366

REJESTR DOTYCZY:

ELESZKIEWICZ Stanisław

s/c i

z d.

29 lutego 1900 w Cerków pow. Poltava

kraj:

+ 1963 w

kraj:

pochowany:

nr grobu:

Nr rejestracyjny

63

Nota zamieszczona:

w tomie

części

Indeks

PLASTYCY / malarz/

Copyright: 1970

B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.znak rozpoznawczyU w a g i:

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:

Wiadomości nr 1212 "Rękopis Stanisława Eleszkiewicza
ze wstępem Mieczysława Lurczyńskiego

Wiadomości nr 1323 z 8.8.71 "Wystawa Eleszkiewicza
Oficyna Poetów nr 13 maj 1969 Eurydyki i Partacz"
piora Włodzimierza Sznarbachowskiego

Rocznik Polonii t.VII

znak rozpoznawczy

50/nr 1212/

50/nr 1323/

90/nr 13/.

122/VII/

WYSTAWA ELESZKIEWICZA

nr 1323 8.8.71

Od 26 maja do 10 czerwca b.r. w Galerie l'Atelier w Paryżu odbywała się wystawa obrazów i rysunków Stanisława Eleszkiewicza pod patronatem Roberta Vrinat, honorowego Prezesa Fédération Nationale des Beaux Arts.

W programie wystawy czytamy: „Ten hołd zmarłemu w r. 1963 artyście wysokiej klasy, który zajmował zaszczytne miejsce wśród malarzy Szkoły Paryskiej, można było złożyć dzięki staraniom jego wiernego przyjaciela Lurczyńskiego, również utalentowanego malarza”. (Por. „Rękopis Stanisława Eleszkiewicza” ze wstępem Mieczysława Lurczyńskiego w nr. 1212 „Wiadomości”).

MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI

REKOPIS STANISŁAWA E



JEST w tym szkicu autobiograficznym, pisanym dla celów zamierzonej w przyszłości wystawy a także dla krytyków, znacząca oszczędność opisu, płynąca nie tylko z trudności wyśłowienia się po francusku. Zmarły mój przyjaciel, tak oryginalny w swej twórczości i poszukiwaniach, zdradza na tych kartach swą psychikę artysty i człowieka, wbrew zapewne własnej woli piszącego. Naiwna prostota i dobroć charakteru (pewna forma pomniejszania się aż do prostoty nazywa się heroizmem) mieszają się tu z poczuciem swojej godności osobistej, dumy, i przeświadczenia (och, zupełnie instynktownego) o swej wartości jako artysty. Życie Stanisława Leszczyckiego i dzieło można sprowadzić do zdania Keatsa: „Wierzę jedynie w czystość serca i wszechpotęgę wyobraźni”.

Gdy przekładałem strona po stronie, słowo po słowie te krótkie proste zdania, przychodził mi na myśl Goya z jego hiszpańską fonetyczną pisownią. Tak właśnie Leszczycki pisał po francusku, sprawiając tłumaczowi mnóstwo kłopotu, zastawiając nań pułapki, często doprowadzające do rozpacz. Wielokrotnie trzeba było domyślać się sensu słowa, sensu zdania, poprawiać, oczyszczać. Starałem się czynić to z możliwie najmniejszą szkodą dla rękopisu. Pisownię nazw i nazwisk przyjmować trzeba z wielką nieufnością. „Czurowo” może być „Szczutowem”, „Scaffatj” jest pisane często „Scaffatti” czasem „Scaffatti”. Nie to jest jednak ważne.

Ważne jest że w tym szkicu zapoznaliśmy się, choć po krótko, z życiem Polaka zupełnie nam nieznanego a dużej miary malarza. Leszczycki zawsze w rozmowach ze mną podkreślał swą całkowitą polskość pochodzenia, nadmienając nawet o powiązaniach rodzinnych z Madalińskim. Miał wielki sentyment dla Warszawy, gdzie żyje dotychczas jego siostra. Miał zresztą również

które były zamknięte; na próżno prosiłem o ich otworzenie. Za drzwiami obojętne głosy ciągnęły swą pogawędkę. Nie umiem dziś określić, jak długo trwała ta tortura, może godzinę, może dwie. Tak czy owak, wydała mi się bez końca.

[1905] To życie nie trwało długo. Ojciec mój powziął decyzję odwiedzenia mnie do Warszawy, do ciotek, które już przyjęły do siebie moją młodszą siostrę Ninę i starszego brata Mitię. Byłem szczęśliwy odnalazszy wreszcie intymność i radość rodzinnego życia.

Od czasu do czasu zjawiała się moja babka by spędzić z nami kilka dni. Mieszkała w małej wiosce niedaleko Warszawy. Pomimo swych skromnych środków była szczodra, zawsze przywoziła nam drobne podarunki: trochę cukierków, świnkę wykrojoną z piernika, lub też po cichu wsuwała nam do kieszeni kilka kopiejek dla naszych skarbonek. Pewnego razu powiedziała mi: „Przynoszę ci podarunek, lecz nie kładź go do ust” i z torby, ozdobionej według starej mody czarnymi dzetami, wyjęła małe pakiety. W jej dłoniach dojrzałem wtedy kawałek zielonej farby akwarelowej, odebranej przezornie jakiemuś chłopcu, który ssał ją myśląc że to cukierek. Radość moja była bez granic, otrzymałem (w r. 1906) pierwszą w moim życiu farbę i zacząłem zawód malarza. Wszystko, co tylko zdołałem narysować na skrawkach papieru, drzewa, dom, osoby i nawet głowy były ubarwione tym jedynym kolorem zieleni.

Rosłem szybko. I mając lat osiem [1908] mogłem już wykonać wielki rysunek przedstawiający śmierć Egeusza, temat podsunęty mi przez brata. Ta bezcenna dla mnie pamiątka uległa, jak zresztą wszystkie inne pamiątki i rysunki z mego dzie-

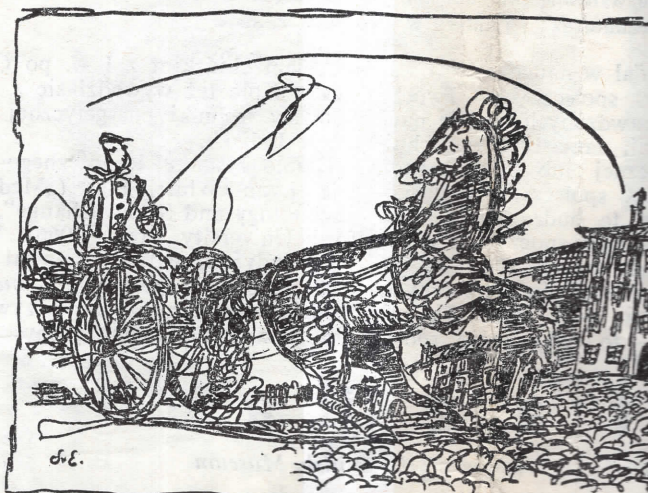
dołu błotem. Konsekwencje mego wyczynu były rozpaczliwe.

W r. 1912 wyjechałem razem z ojcem, który ostatecznie opuścił Czurowo aby osiedlić się w Orowiejsce koło Kremieńczuga, gdzie postanowiono że mam się dalej uczyć. Ojciec przerzucił mnie ze szkoły do szkoły [1913] nie wiedząc, w której mnie zostawić. W ten sposób znalazłem się również w Kabelaki[?]. W końcu wstąpiłem do Szkoły Sztuk Pięknych w Mirgorodzie, w kraju Gogola [1914]. Egzamin był trudny, lecz zostałem przyjęty do uczelni jako jeden z pierwszych, z uwagi na moje zdolności artystyczne. Niewiele w tej szkole nauczyłem się od profesorów. Ale zdobyłem w niej wiele w dziedzinie kształtowania umysłu, dzięki środowisku studentów gorąco oddanych studiom i pełnych chęci poznania nowych kierunków w sztuce. Była nas piętnastka w czasie zebrania i dyskusji nad interesującymi nas zagadnieniami. Cień Cézanne'a, wielcy impresjoniści i kubiści byli duchem obecni na naszych zebraniach. W tym czasie dwa razy usunięto mnie ze szkoły i dwa razy, na skutek nacisku profesora rysunków, z powrotem do niej przyjęto.

[1914] Życie moje rozwijało się wśród perypetiów właściwych i nie do uniknięcia dla temperamentu mojej młodości. Lubiłem Mirgorod z jego malowniczą atmosferą. Szkoła była oddalona od centrum miasta, z którym łączyła ją szeroka ulica z drewnianym mostem; w pobliżu mostu było bardzo dużo małych sklepów i

Z głową opuszczoną, kiem powędrowałem siebie, nie wiedząc na Zatrzymałem się przed wyglądem budynkiem, stko tam było puste, wydawało mi się dziwne jazne. Mając czas ogracydowałem się na odjago potem budziły się rzuty sumienia z powPrześladował mnie nawPotem, już w Paryżu, że widzę w oddali jzgiętą pod ciężarem womywałem się, myśląc, czy też trwać na miewtrwogi, przygwożdżony budziłem się cały w pot

Pod koniec r. 1918 prbieg wypadków. Bytowanpełniał koń, broń i amuczyły się w ciągłych zmśca naszego oddziału, wnych i dziennych utarcstopada 1918 musieliśmać aż do Połtawy, wytrsywny atak zbuntowanmistów ukraińskich podBałaczana, który otoZabarykadowaliśmy sięokreślowego sądu miejswiącego solidny bastiopospieszyli na wyższepjątkiem dziesiątki (i ja ra otrzymała rozkaz trzyszego piętra. Ustawiliśbliżu schodów. Na dole ukazały się cienie. Byli nani że należą one do nle rozległy się strzały, p



zakładów, kuźni z ich hałasem pracujących młotów, straganów, gdzie sprzedawano jarzyny lub rodzaj naleśników, wreszcie Bóg wie co jeszcze. Cały ten świat poruszał się w dymie z kuźni i w zapachu smażonego oleju. Pewnego razu zwróciła moją uwagę mała budka z drzewa, trochę na uboczu. Przez okno dojrzałem bułeczki, smaczne kielbasy, mleko, a raz starego chłopca z kozą, bródką stojącego za kontuarem, jes-

raço kuli, która utkwiała nKulejąc udałem się do pokoju, siadając na framNiedługo grad kul spadł nśiałem się położyć na podi lanina osiągnęła najwyżnie, i mo towarzysze równie do pokoju, gotu odparcia bezpośredniego a lano już w drzwiach. Dym i pył z gipsly zasłone kryjącą napast

rysunki STANISŁAWA ELESZKIEWICZA

A ELESZKIEWICZA

wa opuszczoną, wolnym kro-
powędrowałem prosto przed
nie wiedząc nawet dokąd idę.
nałem się przed surowym w
ie budynkiem szkoły. Wszy-
m było puste, wszystko też
ło mi się dziwne i mało przy-
Mając czas ograniczony zde-
tem się na odjazd. Długo, dłu-
m budziły się we mnie wy-
umienia z powodu Kołacza.
dował mnie nawet we snach.
już w Paryżu, śniłem jeszcze
zę w oddali jego sylwetkę
od ciężarem worków. Zatrzy-
m się, myśląc, czy uciekać,
trwać na miejscu. I pełen
przysłowiony do chodnika,
n się cały w potach.

koniec r. 1918 przyspieszył się
padków. Bytowanie moje wy-
koń, broń i amunicja, dni to-
ę w ciągłych zmianach miej-
tego oddziału, w różnych noc-
dziennych utarczках. 14 li-
1918 musieliśmy się wyco-
do Połtawy, wytrzymując ma-
atak zbuntowanych autono-
ukraińskich pod kierunkiem
ana, który otoczył miasto.
kadowali się w budynku
wego sądu miejskiego, stano-
solidny bastion. Wszyscy
zyli na wyższe piętra. Z wy-
dziesiątki (i ja w niej), któ-
mała rozkaz trzymania pierw-
iętra. Ustawiliśmy się w po-
hodów. Na dole w piwnicach
się cienie. Byliśmy przekon-
należą one do naszych. Nag-
gły się strzały, poczułem go-



li, która utkwiła mi w nodze.
udałem się do sąsiedniego
siadając na framudze okna.
o grad kul spadł na nas. Mu-
się położyć na podłodze. Strze-
osiągnęła najwyższe nasile-
mo towarzysze wycofali się
do pokoju, gotując się do
a bezpośredniego ataku. Strze-
ż w drzwiach.
i pył z gipsu tworzy-
nie kryjącą napastników. Wy-

nastrój. Nawiązałem przyjaźń z do-
skonałym rysownikiem Kudinem,
który później udał się do Paryża i
tam osiadł około r. 1930. W tym
okresie uważano go w Paryżu za
jednego z najlepszych rysowników w
dziedzinie materiałów. Nieszczęściem
przeznaczone mu było przedwcześnie
zembrzeć. Lubilem Kudina dla jego
talentu, jak również dla jego umysłu.
Kiedyś przechadzałem się z nim po
pełnym przechodniów nabrzeżu w
Pireusie. Zauważywszy sięgający do
3 metrów stos brukowców a będąc
atletycznej siły, Kudin pochwycił
moje kule i imitując inwalidę, czy-
niąc grymasy bólu, skierował się ku
tej kupie kamienia. Tam zaczął z
uporem trudną na szczyt wspinaczkę.
Przechodnie, przerażeni, śledzili jego
niezręczne poruszenia. Gdy wresz-
cie osiągnął szczyt stosu, Kudin, od-
rzuciwszy kule, jednym skokiem zna-
lazł się z powrotem na ziemi. Trze-
ba przyznać że sądząc po zdumieniu
patrzących, żart udał mu się dosko-
nale.

Pisarz V. Lenskij, znany i bardzo
modny przy końcu wojny w latach
1917-1918, należał również do moich
przyjaciół. Poświęcił mi poemat dość
rewolucyjny, odnoszący się do sztuki
oczywiście, a który w skutku przy-
niósł mi miesiąc więzienia w „Regina
Coeli”, gdy znalazłem się w Rzymie
rządzonym już przez Mussoliniego.
Pomieszano nazwisko autora poematu
Lenskiego z Leninem. W tym okresie
[w Grecji] moja aktywność artystycz-
na była bardzo ograniczona. Stara-
łem się raczej zaznajomić z pozosta-
łościami artystycznymi antyku. Dość
szybko udało mi się zapisać do Szko-
ły Sztuk Pięknych w Atenach. Egza-
min był dość łatwy. Należało nary-
sować profil pewnej wieśniaczki gre-
ckiej według żywego modelu. Rysun-
kiem klasycznym, modelując go na
czarnym tle. Takie było wymaganie
jury. Wykonałem rysunek jak mo-
głem najlepiej, lecz wydał mi się
tak pozbawiony jakiegokolwiek in-
dywidualizmu i tak banalny że
wściekle wytarłem go i zrozpaczony
odszedłem. W kilka dni później za-
wiadomiono mnie że jestem przyjęty
i że uznano mój rysunek za dobry,
sądząc go jedynie z tego co z niego
pozostało.

Znalazłem się w klasie prof. Par-
tenisa. Wówczas, w Atenach, zorga-
nizowałem „Związek Młodych Arty-
stów” i wspólnie urządziliśmy wysta-
wę. Wybrano mnie na prezesa związ-
ku. W czasie wernisażu musiałem
przyjąć króla Konstantyna i całą je-
go rodzinę, która, z właściwą dla
tego rodzaju uroczystości pompą,
nadjechała w kilku samochodach.
Wokół budynku Zappion, mieszczą-
cego wystawę, ustawiono wojsko.
Byłem przerażony owymi przygoto-
waniami, lecz wszystko odbyło się
najlepiej w świetle i z dużą kor-
dialnością. Od czasu do czasu zdarza-
ło mi się sprzedać pejzaż malowany
czasem, czasem zamawiano u mnie

ne knajpki ze swymi drewnianymi
stołami, bardzo prostymi, nieodmien-
nie nakrytymi małymi talerzami,
które wypełniano oliwkami, rzod-
kwią, gotowanymi pomidorami i pie-
czonymi małymi rybkami, wszystko
bardzo korzenne i tłuste. Cała ta żyw-
ność, ustawiana przed spożywcą, za-
wyczajaj prostym robotnikiem, przy-
ciągała me oczy.

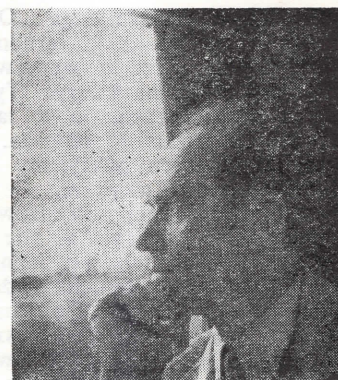
W tym labiryncie ulic ujrzałem po
raz pierwszy prawdziwego, z profesji,
wąsatego malarza, z paletą i linia do
podtrzymywania pędzla, stojącego
przed stalugą i malującego obraz.
Przez szybę witryny ujrzałem go jak
stał nieruchomo w białej bluzie i w
berecie na środku małej, jeżeli
tak można to nazwać, pracowni. Bę-
dąc jeszcze w Rosji czytałem że w
miastach starych krajów, w których
sztuki kwitną od stuleci, malarze tak
właśnie mieszkają i pracują. Czulem
się więc szczęśliwy odnalazłszy ma-
larza w tak romantycznej dekoracji.
Prawdziwy malarz, zarabiający na
życie malarstwem! Tyle przynajmniej
szepotała mi imaginacja. Często też
zbaczałem z drogi by przejść koło
znanego mi atelier.

Około r. 1921 niespodziewanie dla
samego siebie powziąłem decyzję
marszu naprzód. Nie było po co sie-
dzieć wciąż w tym samym miejscu.
Celem moim, bez wahań, stał się
Rzym i Paryż. Pożegnawszy przyja-
ciół i kraj, który przyjął mnie do sie-
bie jak do raju, rzuciłem się w nie-
znane. Z jednym towarzyszem i z
tłustym combrem baranem ofiaro-
wanym mi przez admirała Reveliot-
iego. Wsiadłem na okręt podążający
do Włoch, do Brindisi.

Przyjazd był połączony z trudnoś-
ciami. Gdy obejrzano nasze paszpor-
ty i sumy pieniędzy, niezbędne by
się udać do Rzymu, okazało się że
musimy jechać z powrotem do Gre-
cji, gdyż nasze zapasy banknotów są
niewystarczające. Mój towarzysz,
wyczerpany podróżą, zaczął płakać.
Mnie nagle przyszła opatrnościowa
idea do głowy. Przecież możemy je-
chać do Neapolu, gdzie znajduje się
rosyjski konsulat. Zaczęto wertować
przewodniki, książki. Stwierdzono że
możemy dotrzeć do Neapolu. Sprawa
została zamknięta, a my co sił w
nogach pogналиśmy w kierunku dwor-
ca, gdzie pociąg właśnie ruszał w
drogę. Skoczyliśmy do wagonu, ja
zresztą popychany przez towarzysza.
Siadłszy na ławce, wydaliśmy głębo-
kie westchnienie ulgi.

Pejzaż Włoch rozwijał się przed
nami w całym swym splendorze. W
pociągu kręcili się faszyci w czar-
nych koszulach i beretach z kutasi-
kami.

Przybyliśmy do Neapolu. Natych-
miast udaliśmy się do rosyjskiego
konsula, który okazał się uroczym
człowiekiem. Wszystko zostało za-
łatwione, otrzymaliśmy trochę pie-
niędzy, prowizoryczne locum wraz z
wyżywieniem i polecenia do praco-
dawców. Trzeba zaznaczyć że kon-



Stanisław Eleszkiewicz

także ludzie lepiej ulokowani. Byli
to: aktor filmowy Nikitin i jego żo-
na. Mieli dla siebie mały pokój,
którego ściany były z dykty. To,
jeśli tak można powiedzieć, miesz-
kanie zostało zbudowane na środku
salonu. Pokój miał małe okienko z
widokiem na wielkie okna salonu.
Mogliśmy spacerować wokół tego
pudełka i nawet patrzeć, co się tam
dzieje, wstępując na krzesło i spo-
glądając przez „mury” z dykty. Ma-
łe drzwiczki znajdowały się z drugiej
strony, w najbliższym sąsiedztwie
drzwi pokoju, w którym rezydowała
pani Scaffati. Trzeba wiedzieć że
pani Scaffati była wdową i miesz-
kała sama w swoim pokoju. Najlep-
sze pomieszczenie, od ulicy i z bal-
konem zajmował wiolonczelista.
Charles Sourillon, Francuz. Łączyła
nas przyjaźń, i często grywaliśmy w
kawiarni w szachy. Początkowo zaj-
mowałem jedno z łóżek w mieszka-
niu Scaffati, później przeniosłem
się do Nikitina, którego żona, chora,
była w szpitalu. Miałem łóżko na-
przeciw łóżka Nikitina i czulem się
tam bardzo dobrze. Przyjmowaliśmy
w naszym pokoju wielu przyjaciół,
szczególnie Rosjan. I to wszelkiego
rodzaju. Przede wszystkim Arnolda,
pracującego obok u dentysty, brata
żony Nikitina, Pascala, bez zawodu,
lecz niezmiennie wesołego. Dzidię
[?], bersalierczyka włoskiego, czy-
niącego awanse w kierunku żony Ni-
kitina i z jego całkiem widoczną
zgoda. Wreszcie pewnego księcia z
Kaukazu, zrujnowanego, osobistość
z przeszłością dość awanturniczą.
Ów książę, przyjechałszy z Rosji
po rewolucji, przywiózł ze sobą o-
gromną fortunę oraz swą świętę. Po-
dawał się za monarchę swego kraju.
Wielki styl życia, które wiódł w
Neapolu, znany był wszystkim. Li-
muzyny, przyjęcia, marnotrawstwo
pieniędzy, nocne lokale. Ten tryb
miał nieuchronnie prowadzić ku
ruinie, szybko więc książę stracił
wszystko, a jego ubrania, jedwabne
koszule i t.d. powędrowały jako za-
staw do Arnolda wzmian za poży-
czone pieniądze. Ponieważ książę
ciągle potrzebował pieniędzy, sprze-
dawano te wszystkie rzeczy po ni-
skich cenach. W ten sposób mogłem
ubrać się całkowicie w książęce u-
branie, koszulę, kapelusz, jednym
słowem we wszystko, bo szczęśliwie
byłem jego wzrostu. Stałem się
dżentelmenem ubranym przez pierw-
szorzędnego krawca, Anglikiem.

Kiedyś pojawił się wśród nas pe-
wien Czerkies w moim wieku, imie-
niem Asir Bej, który poczuł do mnie

kowitą polskość pochodzenia, nadmieniając nawet o powiązaniach rodzinnych z Madalińskim. Miał wielki sentyment dla Warszawy, gdzie żyje dotychczas jego siostra. Miał zresztą również sentyment dla Rosji i Rosjan, z którymi wiązało go życie. Po polsku mówił może trochę słabiej niż po rosyjsku. Był patriotą w sposób sensowny, nie zapominając nigdy o swym uniwersalizmie należącego do świata artysty.

Mieczysław Lurczyński.

URODZIŁEM SIĘ 29 lutego 1900 w Czutowie, małej wiośeczynie powiatu połtawskiego na Małej Rusi. Najwcześniejsze lata dzieciństwa spędziłem w rodzinnym domu. Wspomnienia tych lat pozostają płynne i mało dokładne. Niemniej jednak kilka obrazów wyrzuciło się w mojej pamięci: mały ogród, podwórzec i przede wszystkim wielka ilość porzucanego szkła w kącie pod płotem, butelki różnego kalibru, połamane abażury, kawałki błyszczącej majoliki, w sumie cała gama błyskotliwych przedmiotów, które w promieniach słońca były jeszcze bardziej pociągające dla wyobraźni małego chłopca.

Moja matka odeszła do nieba, przynajmniej w ten sposób fakt ów, być może, utwierdził się w mojej pamięci. Gdy miałem lat cztery, niepokojące przecucie zaległo mi serce. Widziałem matkę, w jej długiej sukni, jakie się wtedy nosiło, wsiadającą do wielkiej karocy by odjechać w daleką podróż. Towarzyszyła jej jakaś dama oraz mój ojciec, który zajął miejsce naprzeciw matki. Matka miała twarz smutną, bladą i wychudzoną. Mnie wydawała się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Zalzawionymi oczami dostrzegłem wtedy wokół jej głowy aureolę w postaci cieniutkiej otoczki ze złota. Gdy stanęła ujął za leńce, matka rzuciła mi spojrzenie pełne słodyczy powiewając koronkową chusteczką. Karetą ruszyła wznosząc tumany kurzu. Długo stałem nieruchomo odprowadzając oczami drogą sylwetkę, na zawsze znikającą w oddali nasłonecznionej i niewyraźnej. Nigdy potem nie widziałem już matki i nigdy już się nie dowiem, z jakiego powodu umarła.

Pozostałem sam, opuszczony. Ojciec powierzył mi jakieś nianie mającej nade mną czuwać. Lecz nie troszczyła się zbytnio o mnie. Często zabierała mnie ze sobą do swojej rodziny. Kiedyś, aby się mnie pozbyć, zamknęła mnie w „izbie”, wielkim pomieszczeniu, którego jeden kąt, według ukraińskiego obyczaju, ozdobiony był licznymi szerniałymi ikonami, udekorowanymi ręcznie haftowanymi serwetkami. Płomyk lampki wiszącej przed środkową ikoną rzucał drzące światło na twarz bizantyjskiego świętego. Przyglądałem się ikonom, i zwolna ogarnęła mnie straszliwa trwoga. Surowe spojrzenie skierowane było w moją stronę. W ponurym świetle migocącej lampki spojrzenie to zdawało mi się żywe, biegło za mną. Trzęsąc się ze strachu, rzuciłem się we łzach w stronę drzwi:

rysunek przedstawiający śmierć Egeusza, temat podsunięty mi przez brata. Ta bezcenna dla mnie pamiętka uległa, jak zresztą wszystkie inne pamiętniki i rysunki z mego dzieciństwa, zniszczeniu w czasie pożaru Warszawy w drugiej wojnie światowej.

Lubiłem rysować, zwłaszcza konie, często inspirując się reprodukcjami obrazów mistrzów, zmieniając je na swój sposób, nigdy nie kopiując. Od najwcześniejszych lat posyłało mnie do szkoły podstawowej, później średniej, gdzie dostawałem bardzo dobre stopnie z rysunku. Czasami zachodziłem na kursy rysunków koło muzeum, gdzie malowałem akwarelę wypchane indyki, wyschłe i przymocowane do kartonu łapy kur i inne tematy, które wydawały mi się w równym stopniu niepotrzebne i nie wzbudzające zainteresowania.

[1909] Każdego lata cała nasza rodzina udawała się do ojca, do rodzinnego Czutowa, gdzie odnajdywałem stare wspomnienia, ogród pełen zapachów kwiecica i owocowych drzew, podwórzec zarosły trawą, psy — nasze przyjaciół, nasze zabawy, słowem: prawdziwą radość. Ojciec zabraniał nam zbierać niedojrzałe jeszcze owoce. Wbrew zakazowi nie umiałem czasem powstrzymać się od zerwania niedojrzałego jabłka. Pamiętam, jak raz wsunąłem zakazany owoc do kieszonki sortów. Gdy siadał do obiadu, jabłko wysliznęło się z kieszeni, tocząc się aż na środek pokoju, odprowadzane tam surowym spojrzeniem ojca. „Pokaż mi to jabłko” — rzekł mi, i — czerwony ze wstydu — musiałem mu podać ów zerwany z drzewa owoc. Zakaz wstępu do ogrodu w ciągu ośmiu dni był konsekwencją tego wypadku. Buutowałem się, snując w myślach sekretne plany już po pierwszych trzech dniach zakazu. Kiedyś, gdy znalazłem się sam na sam z bratem, zapytałem go: „Czy 8-letni chłopiec może oskarżyć swego ojca przed sądem?”. Nie otrzymałem odpowiedzi, lecz niedługo wszyscy, łącznie z mym ojcem, zaznajomieni zostali z moimi groźnymi projektami. Spotkawszy mnie kiedyś na podwórzu, ojciec chwycił mnie za ucho pytając: „Ciągle jeszcze masz zamiar oskarżyć mnie przed sądem?”. Rzuciłem się do ucalowania ręki ojca, i w ten sposób incydent znalazł swe zakończenie, wywoławszy wiele śmiechu nad moją naiwnością.

Nasz podwórzec oddzielała od ulicy drewniana brama, której część górna miała otwory. Przez nie dzieci wieśniaków, wieszając się na bramie, zaglądały na podwórze, ciekawe co się tam dzieje. Złosiło mnie to bardzo, rzuciłem się ku bramie, by je odpedzić. Wreszcie wynalazłem broń. Wypełniałem naczynie wodą zmieszaną z piaskiem i czając się pod bramą czekałem na lekkie szelest zbliżających się kroków. Wylewałem wtedy zawartość naczynia na drugą stronę bramy. Nie można sobie wyobrazić mego przerażenia, gdy pewnego razu dostrzegłem po drugiej stronie bramy ojca, zachłapanego od góry do

moją uwagę mała budka z drzewa, trochę na uboczu. Przez okno dojrzałem bułeczki, smaczne kielbasy, mleko, a raz starego chłopca z kozłą bródką stojącego za kontuarem, jeśli tak można było tę ławę nazwać. Na drzwiach niezgrabnie wypisano „Sklep spożywczy T. Kołacz”. Było to zarazem nazwisko właściciela i nazwa pewnego rodzaju pieczywa. Kiedyś zaszedłem do tego sklepu by wypić szklankę mleka. Przyjęto mnie mile i nawet z pewnego rodzaju ojcowską życzliwością, gdyż Kołacz widział że ma do czynienia ze studentem ze szkoły sztuk pięknych. Po zjedzeniu kołaczy, które były bardzo smaczne, chciałem płacić. „Zapłaci pan wszystko razem przy końcu miesiąca, jeśli to pana urządzi” — rzekł mi Kołacz. W ten sposób stałem się [1915, 1916] wiernym klientem Kołacza, płacąc za wszystko przy końcu miesiąca. Wzruszyło mnie zaufanie, jakim obdarzył mnie ten człowiek. Często spotykałem go w mieście zgietego pod ciężarem worków z towarami, które musiał dźwigać. Czas płynął szybko. Wybuchła rewolucja. Musiałem nagle wyjeżdżać, nie płacąc, bo nie miałem dość pieniędzy by wyrównać dług u Kołacza. Dług ten nie dawał mi spokoju. Oddzuwałem nie do zniesienia wstyd przed tym człowiekiem nie wąpiącym o mojej uczciwości [1917-1918]. Przybyłem do Perejasławia, gdzie ojciec mój znalazł zajęcie. Siostra i brat również połączyli się z nami. Życie nasze płynęło dość monotennie, lecz przyjemnie. Często męczyło mnie wspomnienie Kołacza zabierając spokój. Muszę mu tak czy owak zwrócić pieniądze — myślałem.

Dość szybko opuściłem Perejasław by zamieszkać w Połtawie. Czas niepokoju zawisł już nad tym miastem. Liczne bandy zorganizowane w sposób wojskowy, pod komendą dowódców, których cele czy idee były mało określone, rozwinęły swą działalność pod hasłem rewolucji i wolności dla całej Ukrainy. Machno, Czajka, Bałbaczan, Agel i wielu innych ciemnych awanturników siało przerażenie, grabież i śmierć.

W r. 1918 wstąpiłem ochotniczo do oddziału kawalerii stacjonującego w Połtawie. Otrzymałem wtedy małą sumę pieniędzy wystarczającą na moje potrzeby. Od razu pomyślałem by pojechać do Mirgorodu, jeszcze raz zobaczyć swoją uczelnię, a przede wszystkim uwolnić się od długu u starego Kołacza.

Pewnego dnia, zdobywszy przepustkę, podskończyłem do Mirgorodu. Tam odnalazłem znaną mi szeroką ulicę, stary most i dymiące kuźnie. Oczy moje już szukały małej budki stojącej na uboczu, wzruszenie moje rcsło w miarę gdy się do niej przybliżałem. Ale znalazłszy się przed nią, z rozczarowaniem stwierdziłem że barak jest zamknięty i zabity deskami. „Nie ma go tu” — powiedziałem sobie, zmierzając ku kupcowej naprzeciw. Zacząłem się dopytywać. „Biedny Kołacz zmarł, panocku, zmarł” — odpowiedziała mi kobieta.

również do pokoju, g

odparcia bezpośredniego

lano już w drzewiach.

Dym i pył z g

ły zasłone kryjącą nap

czerpaliliśmy zapas amur

się rozproszył, znaleź

rzą w twarz z ukraińsk

mi mierzącymi do nas

„To są towarzysze na

— zakrzyknął dowódca

z naganem żandarm

nym pasie. Był to roz

drugim musieliśmy w

Tam znaleźliśmy się,

na środku jezdni. Po

się za murem. I tar

głośno. „Rozstrzelać

wszystkich!” krzyczał

ba ich najprzód osadzi

— wołał drugi. Lecz

częły padać, po czym

nu maszynowego uczy

wiem, jak długo trwa

Wszyscy padliśmy na

ze zlaną nogą odnie

odmawiałem już osta

Nagle zapanował stos

ukazał się wóz Czerw

Zawieziono mnie do s

dwoma pozostałymi p

rzyszami, którzy późn

ta poległa. Przebywa

sześć miesięcy. Późn

wróciłem do domu.

wojskowa została sk

śladowała mnie jedna

na zawsze Rosję. Po

raz zabrać się do tego

stały się mym celem.

Przy końcu r. 1919

wraz z bratem w Now

Morzem Czarnym. B

niedługo potem. Okr

płynął, natrafił na m

worosyjska. Mnie za

jenny, który udawał

potem do Grecji. Sz

mi się bez wypadku

nach. Znalazłem się

dla mnie raju, w kró

lu. Znow rozpocząłem

cia, wygod, wolności.

się skończyły, mogli

wrócić do sztuki [192

II

R. 1920-1921 w A

a raczej luksusowy

kowy. Położony na p

sieniach pogórza, w

palm, cyprysów, z fo

obszernym, z którego,

morze z nieskończon

dnokręgi. Pośród teg

dawał się piękny pa

piętrach, gdzie nas

pięćdziesiąt osób kip

cia, przepojonych ch

nia przeszłości i pr

troski. Niczego nam

Pożywienie było do

czekolada, owoce

mieliśmy w nadmi

atmosfera dobrego k

liśmy całkowitą swo

się, przechadzek. ba

wśród nas intelekt

poeci, pisarze. Tę g

rekcja umieściła nie

w jednej sali, co two

do pokoju, gotując się do
a bezpośredniego ataku. Strze-
ż w drzwiach.

i pył z gipsu tworzy-
one kryjącą napastników. Wy-
śmy zapas amunicji i gdy dym
proszyl, znaleźliśmy się twa-
warz z ukraińskimi żołnierz-
przycami do nas z karabinów.
"towarzysze nasi, żołnierze!"
czytał dowódca ich, Ukraiń-
nem żandarmerii na czerw-
asie. Był to rozkaz. Jeden po
musieliśmy wyjść na ulicę.
naleźliśmy się, siedem osób.
dku jezdni. Powstańcy skryli
murem. I tam dyskutowali

"Rozstrzelać natychmiast
kich!" krzyczał jeden. "Trze-
najprzód osądzić na dworcu!"
wał drugi. Lecz już strzały za-
padać, po czym ogień karabi-
szynowego uczynił swoje. Nie
jak długo trwała strzelanina.
cy padliśmy na ziemię, a mnie
maną nogą odniesiono do tyłu.
wialem już ostatnią modlitwę.
zapanował stosunkowy spokój,
się wóz Czerwonego Krzyża.
ziono mnie do szpitala, wraz z
a pozostałymi przy życiu towa-
ni, którzy później zmarli. Resz-
egła. Przebywałem w szpitalu
nięsiący. Później o kulach po-
em do domu. Moja kariera
owa została skrócona. Prze-
wała mnie jedna myśl — opuścić
wsze Rosję. Postanowiłem za-
brać się do tego. Rzym i Paryż
się moim celem.

y końcu r. 1919 znalazłem się
z bratem w Noworosijsku, nad
em Czarnym. Brat mój zginął
go potem. Okręt, na którym
y, natrafił na minę opodał No-
wijska. Mnie zabrał okręt wo-
który udawał się do Turcji i
do Grecji. Szczęśliwie udało
bez wypadku wysiąść w Ate-
Znalazłem się w prawdziwym
nie raju, w królewskim szpitalu
nowo rozpocząłem okres szczę-
ygód, wolności. Moje przygody
ończyły, mogłem stopniowo po-
do sztuki [1920].

II

1920-1921 w Atenach. Szpital,
zej luksusowy dom wypoczyn-
Położony na pierwszych wznie-
kich pogórza, w parku pełnym
cyprysów, z fontanną, tarasem
nym, z którego, tuż, widać było
z nieskończonością jego wi-
ęgi. Pośród tego ogrodu znaj-
się piękny pawilon o trzech
ch, gdzie nas umieszczono,
ziesiąt osób kipiących młod-
rozperzających chęcią zapomnie-
przeszłości i pragnieniem bez-
Niczego nam nie brakowało.
wienie było dobre. Papierosy,
łada, owoce — wszystko to
w nadmiarze. Panowała
fera dobrego koleżeństwa. Mie-
całkowitą swobodę poruszania
przechadzek, bawienia się. Byli
nas intelektualiści, artyści,
pisarze. Tę grupę, moją, dy-
a umieszcili niemal całkowicie
nej sali, co tworzyło szczęśliwy

Byłem przerażony owymi przygoto-
waniami, lecz wszystko odbyło się
najlepiej w świecie i z dużą kor-
dialnością. Od czasu do czasu zdarza-
ło mi się sprzedawać pejzaż malowany
gwaszem, czasem zamawiano u mnie
portret. Przyjaciel mój, admirał Re-
velioti, dodawał mi otuchy sprzeda-
jąc niektóre me dzieła. Gdy tylko
udało nam się coś sprzedać, umawia-
liśmy się do restauracji, gdzie nie-
drogo można było dostać narodowe
potrawy greckie, jak makaron mie-
szany z orzechami, pomidorami i
małymi rybkami. Admirał Revelioti
był człowiekiem bardzo kulturalnym
i amatorem sztuki; nie lubił gdy mu
mówiono „admirale”, wołał gdy

la palette bleue

30, RUE DE SEINE
PARIS 6^e
Tél. DAN. 46-70

Exposition organisée par LURCZYŃSKI
et les Collectionneurs de l'Artiste

ELESZKIEWICZ

(1900 - 1963)

EXPOSITION DU 1^{er} AU 15 AVRIL 1968

VERNISSAGE LE LUNDI 1^{er} AVRIL, DE 17 A 20 HEURES

Zaproszenie na wernisaż pośmiertnej wystawy Eleszkiewicza w 5-ą
rocznicę zgonu artysty

się do niego zwracano „Włodzimie-
rzu Ksenofontowicz”. Bardzo gru-
by, chadzał w białym cywilnym u-
braniu. Miał bródkę i na siwej gł-
wie nosił panamę. Był to człowiek
legendarnej wprost dobroci, zawsze
gotów wszystko ofiarować innym.

Któregoś dnia znajdowaliśmy się
w natłoczonym tramwaju. W pewnej
chwili zauważyłem że jakiś osobnik
wsunął rękę do kieszeni admirała i
wyciągnął z niej portfel. „Kradną
panu portfel” — zwróciłem cicho u-
wagę admirałowi. Złoczyńca pojął
że jest przyłapany, ale mój przyjaciel
poprzestał na przyjaznym poklepa-
niu złodzieja po ramieniu i powie-
dział mu z uśmiechem „calo, calo”,
co znaczy po grecku „wszystko w po-
rządku”.

Lubiłem włączyć się po starym
porcie Pireusie. Odwieczne tawerny,
bardzo malownicze, odwiedzane przez
marynarzy i dokerów, miały dla mnie
duży urok; często mogłem w nich ob-
serwować pełne malowniczości sceny,
gdy pracownicy portowi zasiada-
li przy stołach w pozach pełnych non-
szalancji i dezynwoltury przy oświet-
leniu o nastroju rembrandtowskim i
pili „crasi”, napój narodowy Gre-
ków.

Małe uliczki starego Pireusu bu-
dziły we mnie wielkie zainteresowa-
nie i wzboagały moje wrażenia. Te
bardzo stare uliczki, wąskie i dość
brudne, roily się od ludzi, głównie
skromnych robotników, drobnych
kupców, i pełno było przy nich ma-
łych sklepów i warsztatów. Wszel-
kiego rodzaju rzemieślnicy gnieździ-
li się po tych ciemnych lokalach,
krawcy, szewcy, sprzedawcy wełny i
różnych wschodnich towarów. Cias-

konsula, który okazał się uroczym
człowiekiem. Wszystko zostało za-
łatwione, otrzymaliśmy trochę pie-
niędzy, prowizoryczne locum wraz z
wyżywieniem i polecenia do praco-
dawców. Trzeba zaznaczyć że kon-
sul nazwiskiem Szeifer był ongi zna-
nym w Rosji rzeźbiarzem, co nam
niezwykle pomogło w naszych kon-
taktach. Przed wieczorem udaliśmy
się do naszego mieszkania, gdzie
chwilę musieliśmy czekać, nim poda-
no wieczrę. Jakaś kobieta prznio-
sła nam ogromną misę makaronu,
bardzo delikatnego, polanego obfi-
cie sosem pomidorowym i posypane-
go parmezanem. Do makaronu doda-
no chleb.

byłem jego wzrostu. Stałem się
dzientelmenem ubranym przez pierw-
szorzędnego krawca, Anglikiem.

Kiedyś pojawił się wśród nas pe-
wien Czerkies w moim wieku, imie-
niem Agir Bej, który poczuł do mnie
dużą sympatię, stając się wreszcie
czymś w rodzaju mojej przybocznej
straży. Wszędzie mi towarzyszył
trzymając się zawsze nieco z tyłu.
Grywaliśmy w bilard, chodziliśmy do
kina, wywoływaliśmy awantury.

Po kilku miesiącach zdołałem ze-
brać kilka gwaszy i rysunków i zor-
ganizować wystawę, która przyniosła
mi pewien sukces, chociaż sztuka
moja nie była jeszcze dostatecznie
wykształcona. Niemniej jednak zwró-
cono uwagę na moją oryginalność
i miałem dobre krytyki. Działo się
to w r. 1922.

U Scaffaticich życie szło normalnie.
Przyjechała siostra Sourdillona,
Berta oraz jej mąż, Rosanof. Oby-
dwoje zajmowali się malarstwem.
Później Rosanof dla celów politycz-
nych stał się Rossim, udając się, jak
zresztą Charles Sourdillon i Berta,
do Paryża.

Miałem dość pobytu w Neapolu i
postanowiłem jechać do Rzymu. Ze-
brałem bagaże, urządziłem w poście-
chu jeszcze jedną wystawę małych
gwaszy. Ponieważ nie miałem dość
pieniędzy, właściciel galerii dał mi
małą sumę, za co pozostawiłem mu
w zastaw cały mój wystawiony do-
robek. Po czym wyjechałem do Kzy-
mu.

Pomieszczenie, które mi zaofiaro-
wano, był to pokój w pawilonie na-
leżącym do rosyjskiego konsulatu, a
który musiałem dzielić z trzema in-
nymi osobami. Muszę stwierdzić że
wszyscy towarzysze byli sympatycz-
ni, z przyjemnością więc tam miesz-
kałem. Bardzo szybko wydałem po-
siadane pieniądze, i zaczęła się ne-
dza. Zdarzały się dni, kiedy wprost
umierałem z głodu. Zbierałem nie-
dopalki na via Veneto. Wreszcie
udało mi się znaleźć klasztor, w któ-
rym wydawano zupeł dla takich jak
ja włóczęgów. Każdego wieczoru
siedłem plechotą przez cały Rzym
by otrzymać misę tej strawy. Lecz
miałem zarazem przyjemność przy-
glądania się Rzymowi we wszystkich
jego aspektach, w całym jego realiz-
mie. Piękność jego, wspaniałość, sa-
to niewyczerpane źródła artystycz-
nego kształcenia się. Poznałem poet-
ę Rzymu, nędzę jego także, jego do-
ły tak barwne. Lubiłem zagłębiać
się w labirynty małych ulic, szcze-
gólnie po południu. Są one opusto-
szale w czasie godzin upału, okna
mają zapuszczone story. Włosi od-
prawiają siestę. To była dla mnie
najprzyjemniejsza pora. Włóczęg si-
adający murami budynków surowych
ze szczególnymi znamionami stylu
właściwego jedynie budowniczym
włoskim, doznałem zaskoczenia zna-
lazszy się nagle na wielkim placu

W kuchni widziało się istną górę
materaców. Na tej górze, obojętnie o
której godzinie dnia czy nocy, do-
strzec można było przycupniętego
człowieka, dawnego lokaja Scaffa-
tich. Całkiem ślepy poruszał się on
niby cień ducha między górą mate-
raców a wejściowymi drzwiami, gdy
ktoś zadzwonił do mieszkania.

Znajdowali się w tym mieszkaniu

